



Nr. 1.

2-go Stycznia

1913.

POCZERNIONY KAPELUSZ.

(RUMOKESKA).

Ciężka to była sprawa... Doktorat nibyto miałem i dwieście marek miesięcznie jako współpracownik w redakcyi, tu i owdzie udało się czasem umieścić w pismach nowelkę lub feljetonik — wszystko to jednak nie wystarczało, ażebym śmiało i otwarcie mógł wystąpić jako konkurent do ręki panny Aurelii „Krociowej“, córki milionowego fabrykanta.

Fikalskim byłem zawołanym i na wszystkich balach w karnawale uderzająco często tańczyliśmy razem... Wybierała mnie prawie zawsze w mazurze czy w kotylionie — a ja — choć bardzo ostrożnie i sprytnie — potrafiłem jednak oświadczyć się do onego uszka z moją miłością... Ale do ojca pójść nie było „kwalifikacyi“... Bałem się, że dla niego mój „karakter“ nie będzie wystarczający i w rezultacie solennej rozmowy usłyszę owe historyczne: „Ruszał pókim dobry!“...

Wielkich widoków zatem nie było „przedemną“ — jakkolwiek panienka była „za mną“...

Parę tygodni nie widzieliśmy się już od ostatniej zabawy — gdy otrzymałem widokówkę następującej treści:

„Dziś popołudniu o piątej wejść do botanicznego ogrodu główną bramą od tramwaju“.

Bez podpisu... bo! i po co! Wiedziałem ja dobrze, od kogo ta słodka wiadomość.

Z niecierpliwością oczekiwałem popołudnia. O trzeciej byłem gotów; wyświeżony nowym krawatem, świeżutkim kołnierzykiem — porwałem laseczkę do ręki i lekkim krokiem zbiegałem z mego trzeciego pięterka na dół. Czas jeszcze wielki, ale pójść piechotą, bo pogoda prześliczna; zresztą przechadzka robi mi dobrze.

Wtem — rany boskie... Potykam się o leżący na ziemi pod ostatnim schodem zwinięty chodnik, macham koziołką, a kapelusze mój, nowiutki czarny Habig, pada mi wprost filcem do cebrzyka z wapnem. Bestye robiły jakieś naprawy czy poprawki w klatce schodowej i porozkładały swoje materklasy ludziom na zasadzkę!...

Zerwałem się piorunem, wyciągnąłem kapelusze z rzadkiego wapna, strzepnąłem nim parę razy silnie — przepadło!... Biała, brudna plama na całej szerokości została!...

Kląłem okropnie — jednak cóż było robić?... pognąłem na górę z powrotem, gdzie zmyłem nieszczęsne kapeluszyko czystą wodą, potem wodą z mydłem, potem benzyną tarłem szczotką formaliną do gorącości — nie pomogło! Kapelusze wyglądał coraz fatalniej!...

Wziąłbym stary — jakże? Darowałem go stróżowi! Kupić drugi?... Gadanie!... Za trzy marki niespełna nie dostanie kapelusza... A tu czas leci, na rendez-vous trzeba być koniecznie, pod grozą utraty całej, z trudem zdobytej, sympatii!...

Ach!... a gdyby poczernić?... Wzrok mój padł na stojący obok mnie kałamarz... Co? Atrament czarny jak smoła... Kto wie?... Chwytajmy się brzytwy — może nie utoniemy!...

Biore szczoteczkę od zębów, zanurzam w kałamarzu, szast, prast tędy i owędy po plamie, trochę i obok niej — proceder raz i drugi powtórzony — dalebóg doskonale!... Eureka!... Cokolwiek mokry jeszcze, ale to na słońcu wyschnie za pięć minut!

Kontent wybiegłem — tem razem już ostrożnie na ulicę... skok w tramwaj i jadę!

W kwadrans później nadjechał mój anioł.

— Jakże się pani udało samej?...

— Ojczulek z mamą wyjechali do Puszczykowa powozem, o szóstej mają powrócić.

— A guwernantka?

— Żeby ją bola od rana i dlatego pchnęłam do pana widokówkę. Ale żeby nie kłamać, bo tego nie lubię powiedziałam jej, że przejadę się do ogrodu botanicznego i za godzinke wrócę.

— O mnie oczywiście nie było wzmianki...

— Proszę pana... jeżeli się o czymś zamilczy, to jeszcze nie kłamstwo!

— Bardzo słusznie! Doskonale!

W dzień powszedni — z początkiem września — szkoły otwarte i t. d. i t. d., wszystko to złożyło się na pusty prawie ogród. Wzięliśmy się pod rękę: Westchnienia, uściski rąk, zapewnienia dogonnej miłości — powoli, powoli doszło się w ustroniu się-

lankową — — pierwszy całus przypieczętował so-
leennie akt obopólnej przysięgi...

Tak nie spostrzeżliśmy się, jak chmurki nadpły-
nęły, a rześisty deszczyk zaczął na swój sposób
związek zawarty błogosławić z góry!... Ona z to-
rebką bez parasolki — ja z laską... „Rób co chcesz
— głowę trać — ale to nie może dłużej trwać!” po-
wiada Agememnon w Helenie... A tu odsunęliśmy
się tak daleko!... Przyciśnięci do siebie, zrezygno-
wani — rozpoczęliśmy odwrót. O ile mogłem, za-
słaniałem drobną istotkę sobą; jej wdzięczne spoj-
rzenie zwracało się co chwila ku mnie do góry...
Szeroki kryś mojego kapelusza dawał choć chwilo-
wy przytułek jej... noskowi i buzi!...

Wtem nagle — zachciało mi się unieść trzymaną
jej rączkę lewą do mych ust... Pochyliłem bardziej
głowę, a nagromadzona woda z krysa kapelusza
całym strumieniem zalala twarzyczkę panny Au-
relii!...

Jezus Maryo!... Co to? Czy czarno mi się tak
zrobiło w oczach?... Nie!... To mój atrament na
kapeluszu spłynął wraz z deszczem na kryś, a stam-
tąd przy sposobności lunął na ukochane oblicze i na
białe koroneczki jedwabnej bluzki!...

— Rany Boskie! Moja bluzka!... Co to jest?
Coś czarnego?...

Odebrało mi mowę!... Odkoczyłem — wy-
ciągnąłem chustkę od nosa z kieszeni... Co począć?

— Ach! i pańskie ubranie!...

Rozpacz! I po moim jasno stalowo popielatym
garniturze spływały pasy brudno czarne!...

Aurelia skoczyła pod najbliższą lipę, która choć
nie duża, mogła dać cokolwiek schronienia...

Wyciągnęła szybko z torebki lusterko!...

— Przez miłosierdzie Boskie!... Co się stało?

Nie pomogło obcieranie chustkami — twar-
czka wyglądała jak potatuiowana!... Do miasta wrac-
ać ani myśleć... Do restauracy — obmyć się!...
Nie! nie! tam nie pójdzie za żadne skarby świata!
Wyśmieliby się wszyscy...

W tej chwili deszcz ustał — nawet słonko
z poza chmur ostatni zachodu rzuciło promyk... Ba!
ale i tak jeszcze za jasno — trzeba odczekać, aż się
zciemni!...

Masz! Zciemniło mi się rzeczywiście natych-
miast — w oczach! Od bramy ukazał się powóz,
a przed nim para dobrze znanych, siwych koni z Ja-
nem stangretem na koźle!... Rodzice Aurelii niespo-
koi o córkę przyjechali jej szukać.

Ładne zrobili oczy na nasz widok!... Matka
w pierwszej chwili myślała, że to sińce, że stało się
jakieś nieszczęście!... Powoli wytłomaczyłem wszy-
stko... Zachmurzony rodzic — podczas gdy pani
z guwernantką myli nianienkę, wziął mnie na stronę.

— Panie! — rzekł groźnie — pan pojmuje, coś
pan narobił! Moja córka, moja jedynaczka, moja
Aurelia z panem, tu sam na sam, na rendez-vous,
w takim stanie... Służba to widziała, stangret i to-
warzyszka!

Promień zbawczy błysnął mi w głowie.

— Panie dobrodzieju! — odrzekłem, — całkiem
słusznie! Ale wszystko byłoby nic nie znaczące,
gdvby panna Aurelia wyszła na spacer z narze-
czonym!...

— He!... Tak?... A no prawda!... Niema in-
nego wyjścia!... Bestye! Oalgany! Cóż mam
robić?!...

Po zaręczynach, które się wkrótce odbyły —
wyznałem wszystko mojej Aurelii... Śmiała się ser-
decznie z wapna, kapelusza i atramentu!...



W DROGERYI.

Ulicznik jakiś wszedł do drogerii, a zwróciw-
szy się do subiekta, zawołał:

— Panie starszy, dej pan proszku na karakony.

— Za dziesięć, czy za dwadzieścia, — brzmiała
odpowiedź.

— Co to znaczy dziesięć, albo dwadzieścia?
Idźże pon!... tam mamy ich tysiące.



MŁODA ŻONA I STARY MAŻ.

— Kiedyż znown obdarzysz mnie jakim po-
darkiem?

— Bój się Boga, kobieto! Czyż dawno dosta-
łaś na gwiazdkę złoty zegarek?

— Wielka mi historia! I to ma świadczyć
o twojej miłości? Nie! To nie jest prawdziwa mi-
łość! O! taki Fafulski naprzykład! Ten kocha żonę
naprawdę... wyjechał od niej, pozostawiając jej
cały majątek.



MĄDRY RABIN.

W Chrzanowie żyje mądry rabin, do którego
udają się pobożni żydzi nietylko z prośbą o spelnie-
nie cudu, ale także dla rozstrzygania spraw spor-
nych. Także i małżonkowie, gdy wyniknie między
nimi spór, udają się do rabina, aby rozstrzygnął, po
czyjej stronie słusność.

Onegdaj przyszła doń para małżonków. Maż
skarżył się, że ma żonę bardzo żarłoczną. Dziś ra-
no kupił w mieście dwa funty mięsa, aby mu ugo-
towała na obiad. Żona wzięła mięso, a gdy maż
wrócił na obiad, zastał stół nienakryty, nie było
mięsa, a żona płakała. Na pytanie jego, co jest
z obiadem, odpowiedziała mu, że kot zjadł mięso
i dlatego nie miała co ugotować.

— Ale to nie jest prawda — ciągnął dalej maż
— bo ja rebe znam moją żonę, ona jest bardzo żar-
łoczna i ja się założe, że ona sama zjadła mięso!

— Nie rebe — mówi żona — ja przysięgać mo-
gę, że kot zjadł mięso. a ja mięsa nawet nie ruszy-
łam.

— Idź — mówi rabin do żony — idź do domu
i przynieś tu kota.

A po odejściu jej, mówi do męża:

— A ty idź do kupca i przynieś mi tu zaraz
wagę.

Przyniesiono kota i wagę. Rabin zważył kota
i przekonano się, że kot ważył równo dwa funty.

— Nu — mówi rabin, — zwracając się do niej
— tu są dwa funty, a gdzie jest kot?



Z GŁUPIM ŹLE ŻARTOWAĆ.

Czarnkowski, biskup poznański, będąc podagra bardzo umęczony, zwykł był częstokroć z wielkiego bólu powtarzać te słowa:

„Przebóg, dobij kto, odpuszcze!”

Trafiło się, iż gdy leżał w chorobie, nie był nikt inny przy nim, jeno Tatarzyn, sługa jego, ten słysząc, co pan mówił, ofiarował mu się ze swą usługą.

— Panie, — powiada, — daj ty mnie bachmata (konja tatarskiego), a każ mię wolno puścić, a ja ciebie zarzę, jako prosisz.

Biskup spostrzegł, że z tym źle żartować.

— Dobrze, — powiada, — mój Tatarzynku, ale każ tu komu pierwszej przyjść, że mu rozkażę, aby cię po mej śmierci dobrze odprawiono i wolno puszczono.

Wyszedł Tatarzyn i zawołał siug kilku do pana.

Pan ujrawszy sługi, dopiero z onego przerażenia otrzeźwiał i kazał Tatarzyna do więzienia wsadzić, a sam był potem ostrożniejszy.



Jak to wyglądała „gwiazdka“ w r. 1912.

Zamiast aniolka gwiazdkowego bożek wojny przyniósł na świat drzewko świąteczne „choinkę“, ułożoną z ostrych bagnietów. I skakali wokół tej choinki nie dzieci, lecz wojacy różnych narodów.



DOBRA MYŚL.

— Wiesz ty, Janku, zrobimy zakład, który z nas najwięcej wypije!

— Nie, mój kochany Jakóbie, założymy się tak: ja będę pił, a ty będziesz płacił, zobaczymy, który z nas najdłużej wytrzyma.



U RZEŹNIKA.

— Co chcesz kupić, młoda gosposiu?

— Proszę o funt wątroby, ale bez kości!



JAK KUBA BOGU.

— A! Pan dobrodziej kupił sobie nowe trzewiki... zupełnie inaczej wygląda teraz noga!

— Wie pan co?... Kup pan sobie nowy kapelusz, może to pomoże co pańskiej głowie!...



OKROPNE ZDARZENIE.

Pewien podróżny przejeżdżał około wysokiej góry, na której sterczały mury starego zamczyska. Chciwy opowiadania nadzwyczajnych rzeczy, pyta pastuska czy tu nie opowiadają sobie czego o tej górze i tem zamczysku, czy tu się coś nie wydarzyło?

— Tak, proszę pana, — odpowiada pastuszek — dopiero przeszłego roku było tu dwoje podróżnych, którzy zwiedzali okolice; młode małżeństwo. Chcieli też zwiedzić zamczysko, poszli tu z tej strony na górę i już więcej nie wrócili.

— Nienodobna! — zawołał podróżny przerażony — i cóż się z nimi stało?

— Zeszli z drugiej strony i pojechali dalej, — była odpowiedź.



ODCIĘŁA SIĘ.

— Dlaczego odeszłaś tak prędko ze swojej służby? — zapytała przy zgodzie pani, pokojówkę.

— Dobrze pytanie! — odpowiada dziewczyna z urazą — a czy ja się pytam, dlaczego moja poprzedniczka nie mogła u pani wytrzymać?...



KIELBASA.

Mówiono o tem, że teraz trudno kupić czystą, zdrową jaką potrawę, bo się we wszystkich znajdują różne nieczystości, np. kamyczki w kawie, słoma w tytoniu i t. p.

— Najczystsza potrawą, bez wątpienia, jest kielbasa — rzekł chłop — bo na obydwóch końcach jest zawiązana, więc się do jej środka nie może dostać nic nieczystego

OŚWIADCZYNY SZEWCZA.

O! pani! tyś piękna, jak buł na kopycie,
 Usta twe jak safian turecki różowy,
 Twe oczka jak szydłem przeszyły me życie,
 Nałożyły na mnie pociągła okowy!
 Chociaż mię o ciebie okłada majster,
 Ja tak lgnę do ciebie, jak smoła, klajster!
 A tyś pani dla mnie droga i surowa,
 Jak niewymoczona podeszwa wołowa!



NA WSI

Letnik: A co, Wojtku, smakuje ci ciastko?

Wojtek: Ja tam znów długo nie smakuje, ino odrazu zjem.



GŁUPIE PYTANIE.

— Iziu, czy tobie oświadczył się kto kiedy?

— Gdyby mi się kto oświadczył, byłabym już dawno mężatką.



Ambasadorowie różnych państw

radzący nad ustaleniem pokoju, zabawią się może w wigilię Nowego Roku laniem ołowiu w celu wrózenia przyszłości. Można jednakże twierdzić napewno, że zawsze im się uleje Adrianopol, z którym jak dotąd, tak i potem nie będą wiedzieli, co począć.

W RESTAURACYI.

— Nie możecie też przecedzić herbatę? Pełno listków pływa mi w szklance.

— To naumyślnie, proszę pana... Pryncypał chce gości przekonać, że to nie ziółka ani siano, ale czysta prawdziwa herbata...



NASZE DZIECI.

— Czy tatko w domu?

— Nie! Właśnie wyszedł! — odpowiada sześćioletni Adaś. — Ale to właśnie pańskie szczęście, powiedział bowiem na odchodem, że bardzo żałuje, iż nie może czekać na pana, gdyż z całą przyjemnością zrzuciłbym pana ze schodów....



Dumni to są instrumenta dęte, a prostaki dudy. Na pierwszych gra pochlebstwo, a bieda na drugich.



Z PORADY LEKARZA.

Sędzia (do wędruś):
 Dlaczego nie pracujesz?

Wędruś: Przed ośmiu laty byłem u lekarza i ten mi nie pozwolił dla słabowitości pracować.

Sędzia: A więc dotychczas trzymasz się tego polecenia?

Wędruś: Tak, od tego czasu u lekarza jeszcze nie byłem, więc nie wiem, czy dalby mi inną radę?



NASZA SŁUŻBA.

— Patrz Marysiu, w kurzu na fortepianie napisałam całe rozporządzenie na obiad.

— Tak, proszę pani, ja umyślnie zostawiłam ten kurz, aby pani przy terażniejszej drożyznie nie potrzebowała kupować papieru.



ORTOGRAFIA.

— Stasiu, nie wiesz, jak się pisze: rzuły, czy żuły?

— Nie wiem. Najlepiej napisz kanarkowy.



Odpowiedzialny Redaktor Adam Piotrowski w Zabrze.

Czcionkami drukarni „Katolika”, spółki wydawniczej z ogr. odp. w Bytomiu.